Po konfiskacie nakład drugi.

XXVII. Kraków, 1 maja 1924 r. Nr. 9.



„BOCIAN"

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. (dom własny). Telefon Nr. 470

PRENUMERATA miesięczna z przesyłką pocztową Mp. 2,450.000. — Zagranicą podwójnie. W Ameryce rocznie **8 dolarów.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem

CENY OGŁOSZEŃ: w części inseratowej na stronie 7-ej za 1 wiersz milimetrowy jednoszpaltowy 15 groszy, cała stronica Złp. 200.—, pół stronicy Złp. 100·—, jedna czwarta Złp. 55·—, jedna ósma Złp. 30·—, jedna szesnasta Złp. 20·—, w części redakcyjnej na str. 2, 3, 4, 5 i 6 tekstu za 1 wiersz milimetr. jednoszpaltowy 40 groszy; maksymalnie pasek 40 mm. wysokości, 25 cm. długości Złp. 46·—. — Ogłoszenia zagraniczne 100% drożej. — Oprócz ceny za zajęte miejsce, należytość za klisze według cen bieżących obecnie Złp.—, 15. za cmt. kwadratowy. — Ogłoszenia kolorowe 100% drożej.

Numer pojed. 1,200.000 Mk. W Warszawie do nabycia wszędzie. W Łodzi Biuro dzienników „Promień" Piotrkowska 51.

Czekam na was!



Zycie? Cóż! Patrzę się nań z ukosa.
Życie? Ach! To dymek z papierosa
— Tak rozmyśla cudna, mała Iza
Zapatrzona bezmyślnie przed siebie..
Cygarniczkę w cud ząbkach rozgryza
A w dym patrzy, jak w chmurkę na niebie
— Czy was gorszy moje białe ciało
Rozciągnięte leniwie i miękko..
Dla was chłopcy, ach dla was się stało
Takiem cackiem, jedwabnem pod ręką.
O! czyż warto gryźć się nadaremnie –
Chodźcie tu! znajdziecie wszystko we mnie.

Życie? Cóż? We mnie jest pół Europy!
Któż z was przyjdzie całować me stopy?
Zycie wasze? To same kłopoty!
Patrzcie, pierś ma pręży się młoda!
Miłość dla mnie! sen czarowny złoty,
pragnę kochać, póki jestem młoda
Ani ze mnie będzie wierna żona,
ni matrona matka licznych dziatek.
Nie przenigdy! sił strwożny ostatek!
Dla bezpłodnej mił ści stworzona..
W papierosa otulona dymie
Czekam na was! *Rozkosz* mi na imię!



Panu Nicwartowi — pro memoria.

Z okazji ponownych napaści Adolfa Nowaczyńskiego na Kraków na łamach warszawskiej „Myśli Narodowej".

Są genjusze nauki i wojen i zbrodni,
wielkie duchy, co w gwiazdy orlim biegną lotem
i są wreszcie genjusze, co jak kpy bez spodni
genjalnie swoich bliźnich obrzucają błotem

Są żaby które skaczą z motyką ku słońcu
kanalarze, co śmiecie ładują na taczki
są różne kiepskie błazny i są tacy wkońcu,
co plują na ołtarze zamiast do spluwaczki...

I jest także jeden niesforny, niewychowany i nieszczęśliwy pseudo człowiek, który cierpi na wieczną biegunkę w jamie ustnej i ciągłe parcie śliny na gruczoły... Ach, te biedne, chore, opuchłe, nabrzmiałe gruczoły... Aj, jak one swędzą i bolą i drażnią... A więc: tfu! tfu! tfu!! — kaszle i kicha i spluwa na prawo i na lewo skrofuliczny, zaśliniony nieboraczek Nicwart Na-nowo świństwa-czyński — a gdzie padnie z pukawki jego plującego genjusza ta brzydka, niemiła plwocina tam robi się czarno i głupio i mdło a przechodnie stają i patrzą i kiwają smutnie głowami nad wielkiem niczem pana N. N. Nicwarta, Napoleona rzeźimieszków słowa, Mózgo-Eu-Nucha, który wziął na Kiel i Niucha wszelkie smrody, smrodki i smrodeczki buchające z czeluści jego parszywiejącego talentu...

Słowokoziołki fikając, woltyżując na drabince wypoconych z mikroskopijnego móżdżku cyrkowych łamańców kauczukowego języka zachłystuje się ten gorzkowodo-głowy potworek krzyko-kwikiem i skomleniem swoich obszczekujących paszkwilów. Tańczy, pląsa i balansuje na linie swoich — naciągniętych jak lina — satyropłodów i trzęsie się we febrze zawiści i złości, jak okularnik spogląda na świat przez okulary ohydy i jadowitym, wiecznie mielącym, jak chiński młynek organkiem mowy szlifuje wszystko i wszystkich, dziwiąc się, że mimo jego zabójczych ciosów chodzą i żyją i biją, a czasem nawet i jego Błazeńską Mość po głowie nabiją.

Genjalny jest — to prawda.

Źródłem natchnienia wielu rozkołysanych pięści i podniesionych do kopnięcia nóżek bywał także.

Nic dziwnego...

Satyra jest rzeczą pożyteczną i zdrową — nikt temu nie zaprzeczy. Satyra lekka i zwinna, cięta a sprawiedliwa, paląca lecz tym płomieniem stal hartującym, mądra. Satyra polityczna nietylko nas bawi, ale i w następstwach jest zmian radosnych powodem. Chłoszcze. lecz oczyszcza, wypala, ale tylko miejsca chore. Pięknie.

Ale ta satyra, która się miota w bezsilnej ordynarnej wściekłości i zapluwa nienawistnym jadem? Ta nigdy zdrową, potrzebną i bezstronną nie będzie. A panem N. powoduje tylko płaska pasja, prawdziwie „szewską" i nieinteligentna pasja poliszenela targającego płaszcz powagi.

O tak! Tchórzliwy apasz dziennikarstwa, przeklęty w zalążku przez wszystkie spokojne i rozsądne istoty, wyskoczywszy, jak „Filip z konopi" z mizernego rzeszowskiego podwórza — hycnął pan Neuwerth na bruk stolicy i wśliznął się, jak giętki padalec na łamy dzienników... Na jednych skrzeczy poronione satyry i różne inne „pospolite rzeczy", na drugich tiarą mędrca okrywając głowę wymiędla z brzucha smętne „myśli narodowe" — a wszędzie ten sam pajac, wydrwigrosz, kpiarz w złym stylu odwracający się tyłem do wszystkich świętości, szczerzący zęby na „większych" od siebie, jak piesek, który napaskudzić musi pod każdem drzewem — i barwi na żółto swą żółcią fale Wisły, która wstydzi się, że musi swojem dostojnem biodrem ocierać się o Warszawę, tę Warszawę, która cierpi tak bolesny i nieprzyzwoity wrzód na swojem ciele.

Huzia na Belweder! — rozkrzykiwał się niegdyś ten ludzki gramofon, zgrzytający i skrzypiący we wszystkie możliwe fałsze i dyssonanse. Teraz ten konik wymyka się mu z pod siedzenia... Ale nic to! Mamy przecież Kraków i jego skład „świątobliwych mężów i dostojnych gratów". A więc...?

— Huzia na Kraków! — Oto drugie i nieśmiertelne w buzi pana Neuwertha hasło, na na które — jak on sądzi — powinna zerwać się cała Polska do wyprawy zbrojnej na tę zakałę naszej ziemi i „czapkami nakryć" to nienawistne miasto. Widzimy już, jak w mózgu nieszczęsnego Krako-foba pulsują i palą się straszliwe a radosne wizje:

Więc oto odżywa na nowo, zmartwychwstaje w dzień Świąt Wielkanocnych okropny smok podwawelski, przewraca do góry nogami Wawel jednem machnięciem ogona i połyka stary gród jagiellonów razem z kościołami, muzeami, „Bocianem i Bagatelą" (które panu N. doskwierają specjalnie) i z wszystkiemi jego obywatelami, którzy właśnie w tej chwili dzielili się i trącali jajami przy świątecznych stołach w nader tradycyjny sposób.

Więc oto śni się panu Nowaczyńskiemu, że idzie ulicą wymachując siarczyście nóżkami, aż tu nagle gwałt, zamęt, gwar w mieście i.. Nadzwyczajne Wydanie Rzeczypospolitej! Co u licha?! Kupuje, czyta i fika raptem 606 koziołków z radości przebywając w przeciągu pół minuty całą przestrzeń od dworca, aż po Belweder. Co przeczytał?! — „Kraków w gruzach! Powtórny najazd Hunnów! Wawel zjedzony przez Atylę! Wieża Marjacka zbiegła w niewiadomym kierunku! Hejnał w panice wpadł do Hawełki i z rozpaczy tak się strąbił razem ze swoją trąbą, że aż zmarł. — Kraków zalany falą barbarzyńców! Lejemy łzy, nad ulewą nieszczęść, która zlała się na to stare miasto! Lejmy kule i sprawmy lanie tym draniom! Hej, kto Polak na bagnety!"

Nowaczyński przeczytał raz jeszcze, zlał się potem na całej twarzy i zalał się ze szczęścia.

Takie wizje kołyszą do snu pana Neuwertha...

A tu nic!?...
Kraków, jak stał, tak stoi...
Wawel nic się nie boi...
Krakowiaczek, jak brał tak broi...
Stwora dalej wódeczką się poi...

A do djabła! — myśli pan Nowaczyński — i poprawia.

Jeszcze go raz!
Jeszcze go raz!
Bęc! bęc! bęc!

Krakowianie — co jest u licha? Żyjecie dalej! Nie połamał nam żeber ten połamaniec swoimi bokserskimi ciosami...

Nie, panie Neuwercie! Na tej drodze nie do robi się pan popularności i sławy — co najwyżej garści pieniędzy, ale to są prawdziwe judaszowe srebrniki bo pluje pan tam, skąd pan wyszedł...

Najlepiej będzie, gdy pan się odczepi od tego tak bardzo panu psującego krew miasta! Jak najdalej od nas p. Neuwerth, bo się możemy powalać...

A zresztą jest jedno stare, a piękne przysłowie: „Wolno psu na pana Boga szczekać"!





W miłosnym szale.

Otyły pan Izaak Goldesel i opasła pani Izaakowa zażywają rozkoszy małżeńskiego łoża.

Pani Izaakowa wpada w ekstazę.

— Mężu! Mężu! — woła namiętnie.

— No, co jest takiego?

— Mężu — czy możesz dostać ręką do nachtkaslika?!

— A poco ja mam tam dostać!?

Pani Izaakowa jest podniecona do ostateczności.

— O! mężu! mężu! Podaj mi moje zęby, niech cię ugryzę.

Cięta odpowiedź.

Nowoczesna młodzież, uświadamiana na każdym kroku przez powołanych do tego i niepowołanych, w najmłodszych już latach udaje filozofów i kpi sobie ze wszystkiego, często jednak zdarza się, że natrafi na kogoś, kto jej da trafną odpowiedź i skarci na miejscu, delikatnie, a jednak dotkliwie.

To właśnie zdarzyło się w jednem z krakowskich gimnazjów, gdzie w klasie piątej, w czasie lekcji religji, omawiał katecheta dogmat o stworzeniu świata i człowieka, przytaczając na to dowody i zbijając twierdzenia różnych niedowiarków.

— Proszę księdza katechety! — przerywa jeden z dowcipnych uczniów — mój tatuś powiada zawsze, że my pochodzimy od małpy!

— Zwracałem już niejednokrotnie uwagę — odpowie na to katecheta spokojnie, — że w szkole nie powinno się poruszać spraw domowych! Mój kochany, co nas mogą obchodzić wasze familijne stosunki?..

Jak się u nas w Polsce zakłada wytwórnię filmową.

W którymś z zeszytów „Filmu Polskiego" znalazłem następujący przepis:

Wziąć jednego szofera, jeden aparat kinematograficzny i jednego takiego, co dobrze kręci.

Wymieszać to w polskim bigosie, zalać węgierskim gulaszem i posypać perskim proszkiem dla egzotycznego zapachu — wszystko to włożyć... do chrzanu.

Następnie wziąć 4 warjatów z mokrą głową, 8 naiwnych, 16 manjaków i 32 histeryczki — utłuc w moździerzu, zaparzyć i zrobić z tego t. zw. polski placek filmowy. Potem to wszystko nabrać, wykiwać, pobujać w dłoni i wziąść na kawał — z tego wyniknie zespół aktorów filmowych...

Potem wziąć jeden „domek z kart", jeden „zamek na lodzie" i jedną „pannę... przy nadziei". Rozpuścić w szklance wody razem z mydłem, zaprawić to „Finansami wielkiego księcia" i poszukać słomki...

Skoro się słomkę znajdzie, należy puścić wielką „bańkę z mydła".

Jeżeli bańka się nie rozpryśnie powstanie z tego nowa wielka polska wytwórnia filmowa.

Wiosna.

Niech taką wiosnę kule biją
niech taką wiosnę trafi szlak!...
Śnieg pada w kwietniu, wiatry wyją
wszystko naodwrót, wszystko wspak!

Ni stąd ni zowąd piorun huknie
ni stąd ni zowąd spada grad...
— panie nie wiedzą jakie suknie
przerobić modnie ze starych szmat.

Najpierw śnieg leżał na pół piętra
potem roztopy, powódź rzek —
zalane wodą stolic centra
jakby ten Nowy Rok się wściekł...

Na łodziach jeździł chłop do miasta
na łodzi mieszkał z żoną mąż...
Nie miała rodzić gdzie niewiasta
a „Bocian" smutny latał wciąż...

A potem grady tłukły w szyby
bębniły o łysiny głów,
— Warszawa jadła zeschłe ryby
z czasów powodzi wpadłe w rów.

O wiosno! wiosno! przyjdź już wkońcu,
o! planty! o przytułku par —
niech świat się cały skąpie w słońcu,
o! maju! daj nam wiosny czar.

Filozofja.

Icek, syn Mojżesza kształci się w Wiedniu, chodzi na filozofję — a stary papa musi mu często gęsto posyłać dużo floty.

Icek przyjeżdża do domu na wakacje.

— Ty, Icek, słuchaj...

— Jo...

— Tyle ci daję na ty filozofkę, powidz ty mi raz jeden, co to jest za nauke. Niech jo wim, za co płacę.

Icek uśmiecha się dumnie.

— Filozofja, to taka mądra nauka, co potrafi wszystko udowodnić. Tate jest we Wadowice, i ja jestem we Wadowice... A ja tatowi udowodnię, że ja jestem teraz we Widniu.

Tate nic nie rzekł tylko spokojnie wymierzył mu siarczysty policzek.

— Za co mnie tate bije?

— Ja ciebie bije? Ja ciebie nie moge bić! Przecie ja jestem we Wadowicach, a ty we Widniu.

■ ■ ■

Kto zwycięża.



Lwy, węże i kobieta — trójkąt znany [w świecie.
Lew ma tęgie muskuły i pyszną budowę,
jest mocny, jak sam Atlas, naiwny jak [dziecię —
wąż jest cienki, ma małą, ale chytrą głowę...

Wszyscy walczą zaciekle o kobiece wdzię-[ki,
wszyscy o nią wytrwale do konkursu stają
— ale gdy lew — konkurent zażąda jej [ręki,
przed siłą jego zadrży, jak pies przed [nahają...

Ale Adam — lew — siłacz co Ewy jest [mężem
nie zna wszystkich tajników niewieściego [serca,
na kulę proca nie jest skutecznym orę-[żem,
bo kula najmocniejszych na wylot prze-[wierca.

Wąż tylko zna przebiegłe niewieście pod-[stępy
i dlatego go ona, jak ognia się trwoży.
Kurczowo obejmuje kudłacza kark krępy
— lecz wie. — Wąż ją pobije, wąż — ostry [„bicz Boży".

Nasi automobiliści.

Automobilista, wybierając się na wielki raid przejechał na śmierć starą babę:

Psiakrew! — rzecze do siebie, — Oby to tylko nie było zwiastunem jakiegoś nieszczęścia.

Panna Stasia przed lustrem.

(W zupełnym negliżu):

Gdybym tak była chłopcem, zrobiłabym sobie zaraz pewną propozycję, tak dziś ładnie wyglądam.

Ballada o Księciu i pannie z magazynu.

Irka. — Któż nie znał Irki? Tej cudnej fascynująco działającej na mężczyzn Irki?... Wszyscy ją znali z tych czasów, kiedy zdecydowała się zostać przyjaciółką Księcia Piesia i tem przypieczętowała swą karjerę pięknej kobiety.

Ja znałem Irkę z tych czasów, kiedy jako młode dziewczę suteryn roznosiła po domach bieliznę, praną przez jej matkę, panią Walentową. Już wtedy zwracała na siebie uwagę swą nadzwyczajną urodą, a „charming lady" angielskiej, obnoszony przez Irkę w stroju paryskiej midinetki budził ogólny zachwyt u tych, którzy mieli szczęście z rąk jej odebrać wypraną koszulę, albo „dessous" męskie.

Później Irka zmieniła swój zawód. Została mianowana dziewczyną do posyłek w pierwszorzędnym magazynie mod. W gruncie rzeczy nic się nie zmieniło. Zmieniła tylko pracę w wytwórni pracy rąk matki, na pracę w luksusowym magazynie strojów damskich.

Zamiast zawiniątka w różowej serwecie w kraty pomarańczowe, nosiła teraz pudło tekturowe z firmą magazynu.

W tym charakterze poznał ją Książę Piesio, gdy razu pewnego przyniosła suknię do jego przyjaciółki, która była kochanką przyjaciela Księżnej Piesiowej.

Pierwszy raz w życiu zadrgało coś w piersi Książęcej. Pierwszy raz w życiu uderzyło jego serce mocniej i krew leniwie krążąca w żyłach popłynęła wartką strugą zalewając mózg.

Książę Piesio stał jak oczarowany, nie mogąc ani przez chwilę oderwać oczu od pięknej Irki... Z wprawą konesera, który kupował sobie najpiękniejsze kobiety od fjordów Skandynawji po lazury nieba włoskiego i od Sekwany po Ural, otaksował oczyma posągowe kształty Irki i postanowił zdobyć ten piękny kwiat do bukietu posiadanych kwiatów... Już widział się oczyma duszy w alabastrowych splotach ramion pięknej Irki, słyszał jej szept ust purpurowych i wyczuwał ciepło jej młodego ciała dyszącego pierwszem upojeniem miłosnem...

Irka wyczuwała ów niemy zachwyt dystyngowanego pana i z całym sprytem dziewczyny suteryn mściła się obojętnością i lekceważeniem na podtatusiałym adoratorze.

Gdy Książę Piesio oczekiwał ją nazajutrz przed magazynem, zagroziła mu, że zawezwie policjanta. Wiedziała, że Henny Porten albo Pola Negri zawsze w ten sposób traktowały swoich kochanków, a pomimo tego w ostatnim akcie filmu stawały się ze szwaczek, legalnemi żonami hrabiów i książąt.

Książę Piesio szalał. Nie zrażając się niepowodzeniem czekał codziennie przed magazynem — z tym samym skutkiem.

Biedna dziewczyna odżywiana przez całe lata kartoflami i fasolą w mrocznych suterynach, brała rewanż za swoje smutne życie na człowieku wychowanym wśród cieplarnianych kwiatów i zbytku królewskiego.

Aż wreszcie... wreszcie uległa! Uległa za cenę willi, apartamentów, powozu, brylantów i auta... Henny Porten i Pola Negri mogły być dumne ze swojej uczennicy!...

Książę Piesio odmłodniał; odżył u boku przepięknej Irki. Miłość, ów egzotyczny i rzadki kwiat, zakwitł na próchnie i popiele jego dotychczasowego życia.

Irka stała się dla księcia jego życiem, bogiem i radością, a Irka odpłacała mu się szczerem przywiązaniem i niekłamaną serdeczną przyjaźnią.

Wszystko co piękne, toczy robak zniszczenia...

Pewnej jesieni Irka zaniemogła ciężko.

Książę Piesio nie odstępował jej łóżka dniami i nocami, sprowadzał lekarzy, konsylja i profesorów z całego świata. Nic nie pomagało! Z dnia na dzień Irka marniała i nikła w oczach.

Organizm jej wycieńczony długą nędzą młodości nie mógł się zaaklimatyzować do życia, które jej różami usłał książę Piesio.

Irka gasła w oczach jak płomień dogasającej świecy. Nie było ratunku!

— Chyba transfuzja krwi może uratować ją! — orzekł znakomity lekarz z Berlina.

— Na czem to polega? — spytał bliski płaczu książę Piesio.

— Otóż — mówił uczony profesor — do organizmu chorej musi być wprowadzona krew ze zdrowego człowieka. Takie przelanie krwi zdrowej do organizmu chorego, nazywamy transfuzją... Wątpię jednak, czy znajdziemy takiego człowieka, któryby pozwolił sobie krwi utoczyć dla chorej...

— Ja! — zawołał książę Piesio — Ja krwi swej nie poskąpię!

* * *

Przed kilku tygodniami odbyła się operacja. Krew utoczona z żył księcia Piesia została wprowadzona strzykawką Pravatza do żył nieszczęśliwej Irki.

Nie pomogło! Przeciwnie, *to* Irkę dobiło! Umarła *na zatrucie rtęcią.*

Wilek.

„Dzień dobry" pięknej Lili



„Ach, przychodzisz nareszcie mój promienny panie?
Jak się masz ty kochane, niedyskretne słońce?...
Pocałuj na „dzień dobry", a ja zjem śniadanie
tak smaczne jak twój całus i jak ty gorące.

Przez noc całą z księżycem zdradzałam cię pusta,
przez noc całą z warg jego spijałam czar srebra
przez noc całą całował bezkarnie me usta
i straszliwa mną rozkosz wstrząsała, jak febra.

Rano budzę się ciężka, leniwa i senna
— wtem nagle spada na mnie grad twoich całunków.
Krzyczę głośno z radości i jak ty promienna
upajam się twym blaskiem, jak podnietą trunków.

I proszę cię i błagam, przebacz mi grzech srogi,
żem śmiała przyjąć w łoże zimnego przybłędę —
ja kocham tylko ciebie, jeno tyś mi drogi.
Już cię nigdy nie zdradzę, już nigdy nie będę..."

Tak myśli piękna Lili — w jedwabnej bieliźnie
podnosząc się z puszystej, wygodnej pościeli,
z pod rozgrzanej kołderki, jak kot się wyśliźnie
i zanurza się w pieszczot słonecznych kąpieli.

Romantyczna jej główka dziwną bajkę snuje
— że słońcu ona — Lili — przysięgła swe ciało..
Wtem: dzyń! dzwonek. „Kto mówi?" — On telefonuje
— „Czy czekasz na mnie, Lili?" „Tak złoty! Przyjdź śmiało."

Prawdziwy kochanek

[redacted]

O co ją oskarżono?

Piękna pani Helena wysyła swoją służącą do miasta i pozwala jej późno wrócić. Cel tej wspaniałomyślności wiadomy.

Pani Helena telefonuje następnie do znanego z urody młodzieńca.

— Panie, przyjdź pan natychmiast!

Za pół godziny młodzieniec się zjawia wzburzony i wściekły.

— Poco mię pani wzywała?

Osioł! Nie wie poco wzywa piękna, namiętna kobieta młodego mężczyznę.

— Czy nie domyśla się pan po co?

— Nie wiem i nie chcę wiedzieć!

Pani Helena przysuwa się ku niemu zalotnie.

Proszę mnie stąd wypuścić! — woła ten osioł.

Na to ona podbiega do drzwi, zamyka je i klucz wyrzuca przez okno.

A ten niedołężny osioł pędzi do okna i krzyczy: Ratunku! ratunku!

Naturalnie wpada policja i aresztują panią Helenę.

Przyszła rozprawa sądowa, na której zjawiły się tłumy ciekawej publiczności. Jak sądzicie kochani czytelnicy — o co panią Helenę oskarżył prokurator?

O uwiedzenie? — Nie, bo młodzian był pełnoletni.

O gwałt publiczny? — Ależ nie. Mężczyzna, jako silniejszy mógł doń nie dopuścić.

O cóż więc? Nie domyślicie się? Pomyślcie tylko. Przecież mężczyzna, który tak zachowuje się wobec kobiety jest osłem...

Oskarżono ją o sodomję. Chciała zgwałcić osła.



Równouprawnienie kobiet.



Do biura już nie pójdę. Przeciwnie, spodziewam się, że mój szef wkrótce do mnie przyjdzie!

Myśl „panamistów" P. K. O.

Mój Boże, co za szkoda, że nie żyjemy w Babilonie, gdy jeszcze pisano na kamienicach i cegłach...

Codziennie czyta się tyle w gazetach „o sobie", że łatwo zebrałoby się z tego materjał na wybudowanie bodaj małej willi...

Zapewnienie.

— A jakiż możesz mi dać dowód, że twe przysięgi są prawdziwe?

— Czy nie poznajesz tego z ognia moich pocałunków?

— E... na tem się już nieraz zawiodłam.

W szkole.

Jako pierwsze zadanie szkolne, dał nauczyciel swym uczniom temat: Moja własna biografja.

Mały Mosiek, syn kupca z Podgórza, nie wiedział jednak, jak się zabrać do roboty, zapytał więc pana profesora, co to jest biografja.

— Jakto? — zawołał pedagog w świętem oburzeniu. — Masz już lat czternaście i nie wiesz, co to jest biografja własna?... Ot, po prostu napiszesz: Nazywam się tak a tak, urodziłem się tam a tam i w kwadrans jesteś już gotów!

Posłuszny Mojsie zrobił, jak pan profesor rozkazał i napisał w zeszycie, co następuje:

— Nazywam się tak a tak, urodziłem się tam a tam i w kwadrans byłem już zupełnie gotów...

■■■

Ach ta moda!

(Rzecz dzieje się na wystawie rzeźb).

Przed posągiem, przedstawiającym Antoniusza stoją dwie damy i z lubością oglądają jego muskularną postać. Jedna z nich, odejmując wreszcie od oczu lornetkę, rzecze, zwracając się do towarzyszki:

— Patrz, moja droga! Jak ci mężczyźni narzekają na nas, że poddajemy się ciągle różnym wahaniom mody... A czy u nich jest inaczej? Ot, wystarczy spoglądnąć tylko na ten posąg... Adama widzimy zawsze z listkiem figowym, który wtedy był modnym, Antoniusz ma już liść winogrona, gdyż do tego czasu zmieniły się wymagania mody...

■■■

Za późno!

Szef: Jak pan ośmielasz się całować moją żonę!

Buchalter (skruszony): Przepraszam bardzo... Za karę proszę mnie ukarać grzywną! Nie powiem ani słowa, jeśli mi pan ściągnie pewną kwotę z mej gaży!...

Szef: Psiakrew!... Gdybym to wpadł był pierwej na tę genjalną myśl! Dziś miałbym już wcale piękny majątek!...

PECH

Bo w tem cały jest ambaras,
Aby dwoje.. (z Boya)

Sław przeciągnął się i otworzył oczy. Z przyzwyczajenia spojrzał na zegarek. Była godzina 5 ta. Przez spuszczoną roletę przeciskały się resztki dziennego światła na ulicę. W pokoju panował liljowy półmrok.

— Późno! mruknął nasz bohater, skombinowawszy natychmiast, że skoro zegar wskazuje godzinę piątą, to musi to być piąta popołudniu, poczem z pewną dozą niepokoju, rozpoczął próbę sił własnej pamięci, rozważaniem przeżyć nocy ubiegłej.

Wspomnienia były naogół miłe, choć nieco chaotyczne, stały się jednak nie do zniesienia, gdy znużony mózg Sława opanowały pojęcia matematyczne, ściślej rachunkowe.

Prawda!... podpisał większy rachunek w kawiarni. Przy muzyce i winie wydało mu się to drobiazgiem. Teraz wyglądało inaczej... Zapłacić trzeba... ale skąd wziąść? Ach głupstwo. Coś się pożyczy... coś się zastawi... Suma znowu nie tak wielka...

Zwolna... Jak to było? Dopiero po dziewiątej rano przywiózł Zośkę do siebie... Aha! co się z nią właśnie stało? Podniósł się na łóżku i przekręcił kontakt elektryczny. Brrr... światło raziło go fatalnie. Dostrzegł na stole kartkę leżącą na stole na pudełku. Wyciągnął rękę i czytał mrugając powiekami.

„Całuję buzię nosek i t. d. Bądź w cukierni".

Wstrząsnął się. Wszystkie przeżycia ubiegłej nocy i ranka wydały mu się wstrętne. Nawet wspomnienia pieszczot słodkiej Zosi napełniały go odrazą. Czuł się taki słaby i bezsilny jak dziecko w powijakach. Po pijatyce bolała go głowa, a nadomiar wszystkiego odczuwał nieznośny głód.

Wstał z łóżka i obmywszy się wolno, począł się leniwo ubierać. Ból głowy, dokuczliwy, wściekły gnębił go fatalnie. Gdyby jakiś proszek — myślał — ale proszku naturalnie nie było...

Położyć się i zasnąć, choćby umrzeć... Niestety wiedział, że sen nie przyjdzie... Postanowił pójść do apteki...

Już ubrany począł szukać pieniędzy. Pozbierał „drobne" z różnych kieszeni. Na proszek starczy...

Nagle zapukano do drzwi. Niezbyt głośno kilkakrotnie.

Kto? — zapytał Sław, uradowany wogóle tem, że w pobliżu jakieś żywe stworzenie daje znaki istnienia. Może Janek... może Wilek... może Władek...

— Proszę otworzyć! — zaszemrało za drzwiami.

— Co? co to? Wielki Boże! — Sław zatoczył się pod ścianę. Na jego twarzy odbiło się niesłychane zdumienie. Na Boga! To głos pani Inki. Ona u niego? Kobieta w której kocha się od trzech lat, kobieta od trzech lat napróżno starał się zwieść z drogi cnoty. Ona u niego??

Zdawało mu się, że śpi i śni. Ponowne „proszę otworzyć!" przywiodło go do rzeczywistości.

Rzucił się ku łóżku, które paroma ruchami uporządkował. Zmiął kartkę Zosi, pyjamę wrzucił do szafy i otworzył drzwi.

Do pokoju wbiegła młoda, ładna kobieta, wykręciła się na pięcie i zakomenderowała:

„Drzwi na klucz!"

Niemal mechanicznie wykonał Sław rozkaz, oparł się o ścianę i milczał. Wyglądał strasznie. Silny zapach l'origan, który płynął od pani Inki, przyprawiał go o mdłości, ale ona zbyt była przejęta swoją rolą, by cokolwiek mogła zauważyć.

A więc jestem... jestem u pana. Po trzech latach zdecydowałam się... nareszcie... kocham cię... kocham... i ja kocham... gwiżdżę na męża i na opinję... zresztą on mnie także zdradza... twoja jestem... twoja, twoja... tylko twoja... — mówiła z rozgorączkowaną twarzą i płonącemi oczyma, odrzucając futro, z pod którego wyłonił się wycięty, przejrzysty szlafroczek...

Sław zachwiał się, cały pokój zawirował mu przed oczyma. Postąpił ku niej dwa kroki, a pani Inka jakgdyby cofając się upadła na łóżko. Błysnęły nóżki śliczne, foremne.

Całuj... całuj! — wołała wybuchając śmiechem, który kaskadami, niby lodowe strumienie wodospadu, oblewał głowę naszego bohatera. Całuj! Zacałuj mnie na śmierć kochanku mój!

— „Jej kochanek" opanował się ostatnim wysiłkiem woli. Głowa trzaskała mu prawie, małości szarpały mu trzewia, do pieszczot wszelkich czuł wsręt i abominację. Ale był dżentlemenem.

Padł, a raczej zwalił się na kolana przed łóżkiem. Twarzą dotykał jej nóg, obciągniętych jedwabną, ażurową tkaniną pończoch. Równocześnie jego mózg czynił rozpaczne wysiłki, by jakoś wybrnąć z tej sytuacji. Gdyby tak apopleksja — pomyślał jak o desce ratunku. Z rozpaczą determinacji przywarł usta do jej nóg i całował, całował niby w niesłychanem uniesieniu zmysłów od kostki od kolana i z powrotem, jak człowiek którego namiętność porwała i niesie z siłą wichru, orkanu, burzy. Cisnął niesczęsne wargi do jej pończoch z zaciekłą pasją, furją, całą mocą, wgryzał się ustami w dzikiem zapamiętaniu, upijał się temi pocałunkami, a tymczasem przeraźliwie trzeźwy mózg z straszliwą jasnością pytał: co dalej?

— Nie tak... w usta... zabrzmiał cichy szept pani Juli.

Sław usiłował spełnić to życzenie i zmienić teren działania. Błysnęły mu jej oczy zasnute mgłą, za którą płonęły dziwne blaski. Oczy pani Inki były jak niebo na krótko przed wschodem słońca.

Ale skoro tylko zbliżył usta do jej ust, poczuł zapach wina. Widocznie piła je przed wyjściem, zanim zdecydowała się wybrać do niego. W tej chwili czuł nieprzezwyciężony wstręt do zapachu wina. Ten drobny szczegół dopełnił miary. Rzucił się gwałtownie w tył i z okrzykiem: Nie mogę... nie wolno... pani Inko... mąż, jednym skokiem dopadł drzwi i przekręciwszy klucz znalazł się za niemi...

* * *

Psiakrew! co za bydlę, moralne bydlę! moralista — mówiła sobie pani Inka, idąc schodami po dziesięciu minutach daremnego czekania. — I pomyśleć, że takiego człowieka ja kochałam, że dla niego kupiłam wczoraj jedwabne pończochy...

Elin.

Dostosowanie.

Kochali się w pięknej Róży —
jeden mały, jeden duży —
Jedna róża starsza była,
druga młodsza, lecz też miła.
Jedna kształtów nadmiar miała,
druga szczupła, chociaż mała —
Jedna nóżki, niby beczki
druga cienkie znów łydeczki.
Do tej dużej — co za heca
Mały Leoś się zaleca, —
Lecz że postać nazbyt kusa
Jak dosięgnąć ma całusa?
Więc Róża mu radę daje:
Leoś na ławeczce staje...
I wyrównali w ten sposób
Nierówność wzrostu swych osób



Rysio znowu za tą drugą
chodził, chodził chwilę długą...
Ona w krzak, on też w krzaki
że aż nawet spiekła raki. —
Kapelusik w rączce trzyma,
kokietuje go oczyma.
A on poci się i stęka —
— Coś nie rada mu panienka?
Owszem, rada, bardzo rada,
Niech pan robi coś, coś gada!
Cóż? Lecz dyblas tak olbrzymi
wypiął swoje menty „schimy"

Chce się schylić odrobinkę —
by zobaczyć Róży minkę —
Albo jeszcze uszczknąć Rózi
coś z jej słodkiej, miłej buzi...



Ale jak to zrobić? nie wie!
Czy posadzić ją na drzewie?
Lecz kobietka, chytra sztuka,
zawsze jakiś „trik" wyszuka!
Więc nie myśląc nad tem prawie
siedli razem na murawie.
A murawa — jak to bywa,
Zielona, miękka, pieściwa
Wyrównuje wnet poprostu
Wszelkie różnice i — i wzrostu
I charakteru. — i wieku
I zapatrywań w człowieku.

— — — — — — — — —

Z tego sens dla wielu osób
miłość zawsze znajdzie sposób,
Jeśli wiedzieć chcecie panie,
to się zwie: *Dostosowanie!*

Ale co to jest dwa „dakie".

W dawnych, dobrych czasach wiadomo — każdy obywatel ze wsi musiał mieć swego żydka. Toteż i pan Andrzej z Potulci Małych, gdy przyjechał do miasteczka — każe wołać swego Abrachamka.

Abrachamek przychodzi i kłania się od progu.

— Moje uszanowanie dla Jaśnie Wielmożnego Pana Dziedzica!

— Jak się masz, Abramku, ja potrzebuję dwa „dakie" — masz?

— Co nie mają być? Som!

— Ale rasowe, ładne?

— Som rasowe!

— A ile to będzie kosztować?

— To bardzo drogie, proszę jaśnie pana dzedzica! One potrzebują kosztować aż 10 guldenów!

— Idź, ty durny! To wcale nie jest drogo, jak rasowe...

Abrachamek się połapał, iż zażądał za mało.

— Psiepłaszam. Ale te dakle, to une som u mego szwagra, to ja mu muszem dać porękawiczne. Jaśnie pan dziedzic nie będzie chciał, żeby taki biedny żydek jak ja, musiał płacić porękawiczne z własnej kieszeni!

— Dostaniesz porękawiczne, tylko idź już!

— Psiepłaszam, ale to bardzo daleko. To ja muszy wziąć dorożky a jaśnie pan dziedzic nie będzie chciał, żeby taki biedny żydek jak ja...

— Dostaniesz na dorożkę, tylko się już zabieraj!

— Psiepłaszam — ale tam jest rogatka, to jaśnie pan...

— Dostaniesz, psiakrew, na rogatkę, ale niech cię tu już nie widzę.

Abrachamko kłania się wpas i wychodzi. Za chwilę puka i wsuwa brodę kto? Abrachamko! Psiepłaszam!...

— A ty cholero jedno, pójdziesz już raz?

— Psiepłaszam, jaśnie pana dziedzica ale...

— Zabieraj się w tej chwili.

— Psiepłaszam, ale — ja si chciał zapitać tylko, co to jest właściwie te dwa dakie?...

Lampa wisząca.

Pani Feigenblat spotkała swoją przyjaciółkę, Sarę Rosenduft.

— Dzień dobry, pani Rosenduft!

— Ja si ni nazywam Rosenduft, ja si nazywam Lampe.

— Dlaczego pani si nazywa Lampe?

— Bo ja wyszłam zamąż za pana Lampe!

— To ja pani serdecznie gratuluję do ty pomyślny okoliczności.

Po trzech miesiącach przyjaciółki spotykają się znowu.

— Jak si pani ma, kochana pani Lampe?

— Ja si już nie nazywam Lampe, ja si nazywam z powrotem Rosenduft.

— Nu? Dlaczego?

— Bo ja si rozwiodłam z panem Lampe...

— ???

— Bo ja myślała, że to lampe stojące, a to tymczasem takie lampe wiszące...

Właściciel i wydawca: Czesław Lipiński. Odpowiedzialny redaktor T. Borzęcki. Drukarnia i kliszarnia „Nowości Ill ustrowane" pod zarządem L. Gronusia (firma Friedlein

Ułan na... bocianie.



Niema na mnie lampasów, kutasów ni pasów
gwiazdek szych też jest zbytkiem całkiem mi nieznanym
A jednak jestem małym prawdziwym ułanem,
jak wczoraj, jak przedwczoraj, jak za dawnych czasów.

Trzy dni temu ujrzałem ledwo ziemski padół —
i odrazu rycerska zbiera mnie ochota
Niechaj więc was nie razi ta moja gołota
nie zdążyłem się odziać, lecąc z nieba na dół!

Lecz mimo to rozpiera mnie dziarski animusz,
Duch ojców woła: Posłuch dla żądz swoich wymóż!
A więc boćka dosiadłszy, jadę do apelu!

Niechaj drży mąż zazdrosny, wstydliwa podwika —
mój rumak ma dziób ostry i ostra ma pika,
co stoi prosto w górę i nie chybia celu!

Tenit.